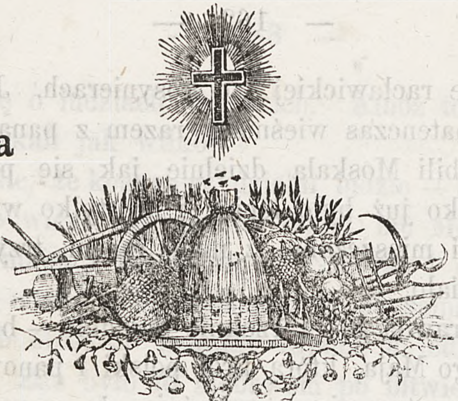
Tom VIII. Nr. 11.

11. Kwietnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wielki tydzień w Warszawie za czasów szewca Kilińskiego.

W ostatnim numerku Dzwonka opowiedziałem wam gadkę dziadka Macieja o bitwie Racławickiej. Otoż między ludźmi, którzy słuchali Macieja, był także pewien szewc Sylwester, człek uczciwy, który w niedalekiem miasteczku miał warstat i gospodarkę, a nieraz jeździł po dworach na robotę. Otoż był on właśnie naonczas u pana dziedzica, a iż się znał dobrze z Maciejem, zachodził do niego wieczorami na pogadankę.

Na wielkanoc przyszedł Sylwester także do Macieja, i pożywali święcone, a było dość ludzi różnych, bo u Macieja na święta zawsze dużo bywa gości. Kiedy już wszyscy posilili się i nagadali dosyć, a zadzwoniono na nieszpory, poszli wszyscy do kościoła, a ztamtąd znowu dosyć ludzi zeszło się do chaty gdzie mieszkał Maciej. Owoż zaczęła się znowu pogadanka, a Sylwester rzeknie:

— No miły dziadku, już ani słowa na to nie powiem żeście nam ostatniej niedzieli dziwnie piękną rozpowiedzieli

historyę o bitwie racławickiej i o kosynierach. Jasna to rzecz jak słońce, że natenczas wieśniacy razem z panami trzymali, i wszyscy razem bili Moskala dzielnie jak się patrzy. Ale to wtenczas wszystko już było lepiej, i nie tylko wieśniacy z panami ale także i mieszczanie z nimi razem trzymali, i przeto lepiej im się działo.

— Jużci prawda to — rzeknie dziadek — bo już za konstytucyi Trzeciego Maja, którą król polski i panowie dali narodowi naszemu, postanowiono wyraźnie, że wszyscy Polacy są równi i bracia, więc panowie taksamo jak mieszczanie i lud wiejski. O mądre to bardzo prawo, bo jużci tam, gdzie jest zgoda i miłość, tam nie ma nigdy biedy, a kiedy ludzie są równi sobie i mają jednakie prawo, to też nie mają do swarów powodu, bo jeden drugiemu nie zazdrości, i jeden drugiego krzywdzić nie może. Tak to rozumnie pomyśleli panowie polscy i najjaśniejszy król polski, i dla tego dobrze im się działo i dobrze bili razem Moskali, chociaż pierwej nie mogli im dać rady, kiedy nie mieli takiej równości i jedności.

— Świętą prawdę powiadacie — mówił szewc Sylwester — i tak samo gadali zawsze nieboszczyk mój tatuś, który znał się dobrze z wami Macieju.

— Prawda, prawda — mówił dziadek — znaliśmy się dobrze, bo my obaj tośmy prawie w jednakowych byli latach, jeno ojciec wasz był młodszy odemnie nieco, i kiedy ja już służył wojskowo pod panem Kościuszką, to on dopiero terminował u majstra Kilińskiego w Warszawie.

— A tak — powie Sylwester — bo my z tamtych stron rodem, ino ja potem przywlókłem się z tatuniem tutaj, i tu już zostaliśmy. Zaś w młodości tatuś ciągle w Warszawie był, i tam długi czas po majstrach robił, a nakoniec własny warsztat otworzył, a potem tu się przeniósł. No, ale nigdy nie mogli tatuś odżałować się Warszawy i ludzi tamecznych, rzemieślników a najbardziej szewców, bo tam od czasów majstra Kilińskiego każdy szewc prawie człek bardzo dzielny i Polak jakiego poszukać.

Zda mi się — powie dziadek — że u nas także rzemieślnicy tacy dzielni ludzie i dobrzy Polacy jak tam, bo już

nic nie mówię o ludziach wiejskich. Alboż to nasi kosyniery nie tłukli Moskali jak wilków?

— Pewnie, że kosyniery dzielni ludzie — mówił majster— ale już ja nie wiem czy można lepiej bić Moskala jak Warszawiacy za majstra Kilińskiego. Nie raz i nie dziesięć razy opowiadali mi o tem tatuś nieboszczyk, bo sami także naonczas coś aże dwóch Moskali zatłukli kijami, a jednego taki pocięglem udusili. Zaś było to niebawem po bitwie Racławickiej, i w sam wielki tydzień.

— No — rzeknie dziadek — opowiadałem ja wam ostatniej niedzieli o Racławicach, więc powiedzcie nam dzisiaj majstruniu o wojnie pana Kilińskiego, tak jak wam tatuś opowiadał. Słyszałem ci ja nieraz od niego tę historyę, ale wy zawsze lepiej ją spamiętacie.

— Dobrze — powie majster — już ja nieraz ludziom opowiadałem, więc jeszcze raz opowiem.

Otóż kiedy pan Kościuszko zaczął wojować z Moskalami, było ich bardzo dużo w Warszawie. Uciskali oni lud warszawski jak wszystkich Polaków, a najbardziej ich jenerał Igelstrom, człek okrutny bardzo i nie uczciwy. Skoro ludzie posłyszeli o panu Kościuszce, zaczęli wnet przemyśliwać, jakby Moskali wygnać taksamo i pobić, jak to czynił pan Kościuszko. Zaś trudna była bardzo rada, najbardziej iż wojska moskiewskiego dużo było, i że jenerał Igelstrom każdego męczył i katował, kto chciał wygnać Moskali. Możeby się więc skończyło na niczem, żeby nie szewc Jan Kiliński, sławny bardzo człek na całą Polskę.

Ten Kiliński miał wielki warsztat w Warszawie, i był sobie szewc zwyczajny, jeno dziwnie zacny człek i rozumny Miał przeto wielkie zachowanie u ludzi, i wszyscy rzemieślnicy słuchali go jak starszego. Otóż przemyśliwał on ciągle nad tem, jakby ratować miasto i ojczyznę, a jenerał Igelstrom okrutnie go nie lubił, i nieraz chciał go wsadzić do aresztu. Jednakowoż nie uczynił tego, bo się bał aby rzemieślnicy nie poszli na pomoc Kilińskiemu.

Tak działo się aż do bitwy Racławickiej. Kiedy posłyszeli Warszawiacy że kosyniery pobili Moskali, strasznie się

tem ucieszyli, i już koniecznie chcieli bić także Moskali. Więc nadszedł wielki tydzień, a ten był poźniej jak tego roku, bo wielkanoc miała być aż 20 kwietnia. Rano we wielki wtorek przyszedł do Kilińskiego Moskal jakiś uczciwy kupić trzewiki dla żony, i kiedy już utargował obuwie, rzeknie do majstra:

— Mój miły majsterku, abyście wiedzieli że ja was kocham i chcę wam dobrze poradzić, więc posłuchajcie mnie. Nasz jenerał rozkazał, aby w sobotę podczas rezurekcyi, kiedy wszystek lud będzie w kościołach, wytoczyć armaty i strzelać do ludzi i mordować ich, aby Moskali nie wygnali z Warszawy. Więc ja wam radzę, abyście zabrali żonę i dzieci, i wyjechali het z miasta, aby wam się nic złego nie stało.

— Ej — powie majster Kiliński — może wy zmyślacie, aby mnie przestraszyć?

— Gdzietam — mówi Moskal — toć pewnikiem tak się stanie jak ja wam powiadam, i zobaczycie że prawdę mówię. Ale proszę was, nie mówcie nic że to ja wam powiedział, boby mnie jenerał nasz kazał zastrzelić.

— No kiedy tak, to ja wam bardzo dziękuję i nikomu nie powiem — rzeknie Kiliński — a potem utraktował uczciwie Moskala dobrego, i rozeszli się.

Moskal poszedł do domu, a Kiliński czemprędzej zebrał się i pobiegł do przyjaciela swego, rzeźnika Sierakowskiego, który był człek także dzielny i bardzo dobry Polak. Temu rozpowiedział wszystko, a potem zwołali na radę rzemieślników różnych i panów.

Kiedy się wszyscy zeszli do Kilińskiego, zaczął on do nich mówić w taki sens:

Moi mili bracia, jest taka sprawa. Bezbożny Moskal chce nas w czasie rezurekcyi pozamykać w kościałach i pobić. Jużci nie ma inszej rady, jak wziąć się do niego zawczasu i wygnać z miasta. Za kilka dni wielkie święta, a na święta należy oporządzić mieszkanie jak się patrzy, więc wyczyścić, pozamiatać i śmiecie wymieść. Nasze miasto, to nasz dom, a śmiecie i plugastwo co je wala, to Moskale. Więc weźmy się i wymiećmy to śmiecie i wyrzućmy je precz.

Tak mówił majster Kiliński, a wszyscy zgodzili się chętnie na jego mowę, i przyrzekli wziąć się ostro do Moskala. Otóż uradzono, aby we wielki czwartek zacząć z nim bitwę, tak iżby na niedzielę i święto był już spokój i porządek. Zaś jak uradzili, tak się też stało wszystko.

Rano we wielki czwartek, zaraz o wschodzie słońca wybiegł Kiliński z domu, a z nim czeladzi dość i inszych rzemieślników. Zaczną więc na ulicy bić Moskali. Najpierw zabrali broń i rozdali między ludzi, a potem koszary zaczęli zdobywać, gdzie stało wojsko moskiewskie. Była okrutna bijatyka przez cały dzień, bo Moskali moc wielka była w mieście. Cały lud warszawski zaczął ich bić, i czem kto mógł, więc niejeden kijem tylko albo nożem. Naostatek wygnali precz Moskali z miasta, a nabili ich coś cztery tysiące.

Na drugi dzień jeszcze było trochę wojny, bo coś Moskalisków zostało w mieście, ale i tych wybito i wypędzono na cztery wiatry. Ów srogi jenerał Igelstrom uciekał okrótnie i w wielkim strachu, a wieczorem w piątek już ani znaku po Moskalach nie zostało w Warszawie.

Kiedy się o tem dowiedział pan Kościuszko, bardzo się ucieszył i szewca Kilińskiego zrobił półkownikiem. Od tego czasu jeszcze więcej ludzie szanowali i kochali Kilińskiego, o którym dziś jeszcze pamięta cała Polska, i dziś jeszcze ze szacunkiem wspominają szewca Kilińskiego. Także od tego czasu byli już zawsze warszawscy rzemieślnicy a najbardziej szewcy ludzie dzielni i zacni, bo każdy chciał być podobnym jak Kiliński.

Naostatek mówił majster Sylwester tak: Otóż moiściewy i ja także już koniecznie chciałem zostać szewcem, i tatuś mój tego chcieli, bo sam był w terminie u majstra Kilińskiego i razem z nim bijał Moskali w ów wielki czwartek. Więc i zostałem szewcem, i zawsze staram się być człowiekiem uczciwym aby nie zhańbić swojego rzemiosła.

Otóż macie moi kochani historyę o panu majstrze Janie Kilińskim, tak jak ją nieraz opowiadali mnie tatuś nieboszczyk.

Wszyscy dziękowali pięknie Sylwestrowi za historyę, a iż był już poźny wieczór, rozeszli się niebawem do domów.

Krótka śpiewka
o szewcu Kilińskim.

Szewc Kiliński oto pan!
I na całą Polskę znan,
Szył buciska doskonale
I wyzbijał też Moskale
Z całej siły,
Boże miły!
Oto zuch! oto pan!
Nasz Kiliński Jan!

Szewc Kiliński oto zuch!
I nie znajdziesz takich dwóch,
Bo niejeden Moskal zginął,
Jak kopytem się zawinął,
Z całej siły,
Boże miły!
Oto zuch! oto pan!
Nasz Kiliński Jan!

Szewc Kiliński oto pan!
Polski zbawcą słusznie zwan,
Bowiem ojczyznę obronił,
Kiedy Moskwę precz wygonił
Z całej siły,
Boże miły!
Oto zuch! oto pan!
Nasz Kiliński Jan!

Takich szewców Boże daj!
A szczęśliwy będzie kraj,
Będzie wolną Polska cała,
Raj na ziemi będzie miała!
Boże daj!
Taki raj!
Szewców takich Boże zdarz,
Jak Kiliński nasz!

Królowa Jadwiga.

We wsi Przyłęku siedzi sobie gazda Łukasz Srokaczek, bogaty i pobożny i zapobiegliwy, a mądry tak, że jak co powie to warta posłuchać, a nigdy nie gada nic głupiego a broń Boże! co złego i grzesznego, bo on sam powtarza każdemu:

— Jest to cnota nad cnotami, trzymaj język za zębami, a jak masz co komu powiedzieć, to sobie dobrze ułóż w głowie, aby z tego nie wypadło co komu szkodliwego, albo naprzeciwko Pana Boga.

Ale też i babina jego Zośka, to baba nie lada! czyta ci na xiążce bez myłki, spiewa z pamięci pieśni pobożne do każdej mszy świętej i do różańca i w domu co rano i wieczór, gdy pali ogień i gotuje jakie jedzenie, a dla dzieci które jej dał Pan Jezus, to już taka przykładna i dobra, że to poszukać

takiej matki. To też i dzieciska muszą z nią spiewać, koronkę odmawiać i do kościoła chodzić, a posłużyć chętnie i uczciwie bodaj i dziadowi na wsi. To też każdy tam powie ci o niej:

— Ho! ho! to mi dopiero baba rozumna i pobożna, żebyś takiej nie znalazł i sto mil za Krakowem.

To też z jej chałupy chodzi aż czworo dzieci do szkoły i to pół mili daleko, bo aż na koniec drugiej wsi i to biedactwo, jak zje rano w domu co gotowanego, to o tem jest aż do pożna wieczór o suchym kawałku chleba co im matka wrazi do kieszeni i trochę soli albo dwie trzy główeczki czosnku do tego. I radość tam w chałupie wieczór wielka, gdy ci szkolarze wrócą do dom, bo matka zaraz zagada i pyta:

— No! a cóż tam uczyliście się nowego dziś?

A dzieci opowiadają na wyścigi od początku do końca, co jeno im xiądz albo sam nauczyciel powiedział lub pokazał.

Otóż raz wróciły te dzieci dobre już pożno z wieczora ze szkoły, a matka wyzierała nieraz przez okienko za niemi, i jak zapukały do sieni, matka wylatuje i pyta:

— A to czemu tak pożno wracacie?

A dzieci na to pięknie gadają:

— Bo widzicie mamusiu! pokazał nam xiądz proboszcz ładny obrazek, na którym stała malowana królowa polska Jadwiga, i opowiadał nam strasznie długo z pamięci o tej pobożnej Pani, a my musiały potem to samo powtarzać, dopóki nie potrafiłyśmy bez myłki wszyściutko na jeden włosek dorazu tak samo mu opowiedzieć. A matka zamknęła sień, zaprowadziła dzieci do ciepłej izby, kazała im bucięta ściągnąć, dała na misce ciepłej strawy zjeść, poprawiła ogień na kominku i gada:

— No! to też opowiedzcie mnie i ojcu waszemu te ciekawości, co wam też nasz dobrodziej naopowiadał.

Na to najstarsza Kasia zerwała się zaraz, stanęła sobie koło ognia i tak gadała:

— Widzicie matusienko! że to było wtedy pierwej już jakie 22 królów polskich, nim nam dał Pan Jezus tę pobożną Jadwigę za królowę do Krakowa. I jakoś to się dziwnie porobiło z dopustu boskiego, że tacy pobożni i prawie święci królowie, jacy to bywali ci Piaści, że to wszystko do jednego

wymarło i nie zostałci ani jeden chłop po nich, jeno same dziewczęta.

A na to odezwał się Jaś braciszek:

— Bo to mamusienko! dobre 500 lat królowali u nas w Polsce ci królowie, co to nie pochodzili ani z cesarzów ani z panów wielkich, jeno tak z prostych chłopów jak my teraz nieprzymierzając. I stali też ci dobrzy królowie za chłopami aż strach, a ostatni z nich Kazimierz Wielki, to ni to w ubraniu król z koroną na głowie, ni to pan bogaty, ale sobie czysty chłopek i do gospodarki i do budynków przeróżnych, a mądry taki, że spisał jakieś prawa sprawiedliwe, o których nam obiecał nasz jegomość opowiedzieć, jak jeno będziemy słuchać i uczyć się.

Na to gadanie aż się rozpłakała matka z radości, pogłaskała dzieci po głowie, usiadła sobie z kądzielą koło ognia i mówi do Kasi:

— No! i cóż się stało z Jadwigą królową polską?

A Kasia zaczęła gadać jakby sroczka na płocie:

— Bo widzicie mamusiu! ta Jadwiga to miała ojca jakiegoś Węgra, jeno jej babka była królewną polską, a matka jej to także pono nie była z naszego kraju, jeno Polacy lubili strasznie Piastów i byliby pod ziemię poszli szukać ich dzieci, to też jak nie stało już żadnego chłopa z owych Piastów, to sobie Polacy z płaczem wspominali dawne czasy szczęśliwe i pobożne i sprowadzili do Krakowa koniecznie Jadwigę młodziutką i jej babkę, co to miała być bardzo mądrą i znał ją Ojciec święty i pono wszyscy cesarzowie i królowie z jej rozumu i nauki.

A matka na to odrzekła kiwając głową:

— O moje dziecko! jak to się tobie pomieści to wszystko w głowie twojej — ja to już nie mogę sobie spamiętać tego, bo moja głowa sturbowana i sfrasowana nie jedną rzeczą, ale gadajno dalej.

Na to Jaś się odezwał:

— Bo to widzicie mamusiu! jeden król polski, co to się zwał Łokietek Władysław, miał pobożną żonę, także Jadwigę, a ta była córką matki jednej, co została świętą — i ten Ło-

kietek miał dwoje dzieci: owego Kazia, co to był tak mocny i dobry król i znowu córkę Elżbietę, co to była babką naszej Jadwigi i co to przed Jadwigą królową długo siedziała w Krakowie. Otóż mądry Łokietek jako ojciec tak pożenił swoje dzieci: córkę Elżbietę wydał do Węgier za bardzo mądrego i bogatego króla, a to na to, aby mu Węgry pomagali na Turka, a zaś syna Kazia ożenił aż na Litwie, gdzie to byli jeszcze poganie i nieraz dokuczali Polsce, a to zrobił na to, aby pomału te kraje nawrócić do Pana Jezusa, aby mu poganie oddali tych ludzi, których na wojnie pozabierali, a potem aby mieć pomoc na Krzyżaków, co to niby nawracali pogan. Ale gdzie ta myśleli oni o Panu Jezusie i czyjem zbawieniu, to byli ludzie podobni do czarta, nosili płaszcze czarne jak węgiel i szkoda tego świętego krzyża, co go mieli na tej sukni, a brzydko nawet wspominać, bo do tego nazywali się zakonnikami, a to byli rabusie i szkodnicy, okpiwali Boga, Ojca świętego i cały świat, aż ich raz pokarał Pan Jezus.

Na to gadanie tak się zadumała stara matka, że jej wypadło wrzeciono z palców, a ojciec siedzac za stołem przemówił do dzieci:

— Co to za czasy takie, że teraz jajo więcej wie od starej kury! ta gdzie nas kiedy uczono takich rzeczy za młodu? a przecie to dobrze, kiedy człek wie dawne czasy i rozumie, jak to bywało przed laty na świecie i gdzie się to wszystko podziało.

A matka na to tak rzecze:

— A widzicie stary, że ja dobrze chcę, kiedy te dziecięta łażą do tej szkoły! ot macie znak, że to nie nadarmo! toć to pytluje każde z nich językiem, jakby tam do głowiny wory xiążek nasypał, a to bez zająknienia. No! i cóż dalej było z tą Jadwigą?

Na to znowu gadała Kasia:

— Otóż widzicie zalecał się tej Jadwisi nie jeden, ale ona wybrała sobie takiego, aby było nie jej samej dobrze, ale całemu krajowi i wszystkim ludziom, aby się pocieszył z takiego ślubu i Ojciec święty i Pan Jezus na wysokiem niebie. I wydała się za takiego pana, co to nie był ani chrzczony, ani pa-

cierza świętego nie umiał, ani się żegnać nie potrafił i nic nie znał o Bogu, co się zowie — a zrobiła to na to, aby się ten pan sam ochrzcił, a potem jako król prawdziwy aby kazał stawiać kościoły i wszystkich nawrócił do Pana Jezusa. I tak się też stało.

A Jaś na to rzecze w ten sens:

— To ten pan, co się zwał pierwej Jagiełło, a na chrzcie dał mu biskup krakowski imię Władysław — i chrzcił się ten król w dzień św. Walentego w Krakowie, a zaś Jadwiga koronowała się dwa lat pierwej w sam dzień świętej Jadwigi, bo sobie tak życzyła, i obrała sobie tę świętą za patronkę i opiekunkę.

A znowu brała Jadwiga ślub na samą Wielkanoc w wielki poniedziałek w Krakowie w r. 1386.

A Kasia niecierpliwa na to:

— No! dajże mi skończyć, to sobie potem gadaj i gadaj i gadaj, bo ty znasz to lepiej odemnie, ty siedzisz codzień u jegomości pod piecem i czytasz i uczysz się, a ja muszę w domu pomagać mamusi.

— Otóż rok po ślubie wybrał się Jagiełło na Litwę, bo tak się nazywały jego kraje, i przyjechał tam na samą Wielkanoc w sam wielki tydzień — ale gdzie tam znali ci ludzie mękę pańską i jakie święcone, gdzie oni ta wiedzieli co o naszych świętach! To też w rocznicę ślubu rozpoczęli xięża chrzcić ludzi tamtych, a król Jagiełło nazwoził różnego okrycia i sukień z bielutkiego płótna i różne podarunki i rozdawał sam każdemu, kto jeno się ochrzcił. I mówił nam jegomość w szkole że sam król pomagał xiężom calutki dzień boży, ani jadł, ani pił i nie skosztował święconego, aż się chrzest święty odbył na całych wsiach i miastach. Po tem dopiero dzielił się święconem jajem z każdym, kto jeno był ochrzczony — i miało się w to święto ochrzcić tysiące ludzi, a pobożny król cieszył się z tego, że tyle dobrego mógł zrobić na samą Wielkanoc, że tyle dusz ludzkich pozyskał dla Pana Jezusa i pomógł im do zbawienia.

Ale Jaś zaraz poderwał:

— Otóż widzicie! że u nas koło Krakowa byli Polacy pierwej ochrzczeni na jakie 500 lat, bo to było jeszcze za Piasta pono roku 863, a za króla Mieczysława I to już pono nie znalazł nikt poganina i ze świecą w całej Polsce, bo to het! wychrzcił ten król co do jednego, a Litwa wychrzciła się dopiero za pomocą Jadwigi — chrzest Litwy to wiano ślubne naszej Jadwigi. I widzicie! że tego roku obchodzą Polacy tę pamiątkę, jakto 1000 lat temu król Piast przyjmował w domu swoim świętych apostołów, co mu się zdawali być aniołami niebieskimi, i mówił nam jegomość, że będzie nabożeństwo w całej Polsce na podziękowanie Panu Bogu za przysłanie św. apostołów do Polski i że mają wystawić w każdej parafii jaką pamiątkę pobożną na to, do czego też pobożni ludzie powinni się przyczynić.

A matka na to rozpłakała się i mówiła:

— O moje dzieci! wy będziecie pobożniejszemi od nas bo się na to uczycie — jak będzie trza co dać na składkę, to damy zaraz, boć to na chwałę bożą i na dobrą rzecz, aby też każdy wiedział, co to robił Pan Jezus dobrego dla tej ziemi i jakich on też miał tu i królów i xięży i ludzi.

A Kasia jeszcze miała coś powiedzieć i zapytała:

— No! Jasiu! a pamiętasz sobie, co to jegomość na samym końcu ciekawego powiedzieli?

A Jaś podumał i odpowiedział:

— O! co powiedzieli? tać mówili, że od dobrego uczynku tej Jadwigi, jakto na Wielkanoc w sam wielki poniedziałek tyle się ludzi ochrzciło, pozostała nam Polakom ta pamiątka, że się ludziska w ten dzień zlewają wodą, albo się wtrącają w wodę i nieraz się zmoczą aż do nitki i weselą się i radują przy tem a to ma być na pamiątkę, jakto xięża wtedy klęczących gromadami naraz polewali wodą, albo z kropidła albo z jakiego naczynia a król pobożny pomagał im do tego.

A matka stara odrzekła na to:

— To by nasz Śmigus, owe figle z wodą, był tak dawny i na taką pamiątkę?

A Kasia na to zaraz:

— A jeno moja mamusienko! to piękna pamiątka, już ma jakie 500 lat, jeno to ludziska zamienili w figle, a najwięcej dokazują parobcy z dziewkami i dziewki ich nie żałują. Niechby się i cieszyli, jeno żeby też rozumieli, na co to jest to polewanie? bo nam jegomość powiedzieli, że za to nie ma żadnego grzechu i że Polacy powinni takie starodawne pamiątki wszędzie co rok obchodzić, jeno bez grzechu i zbytków, bez szkody dla drugich i bez obrazy Boga.

Ale matka stara wstała, położyła kądziel w kąciku izby i mówiła:

— No! moje dzieci! poklękajcie teraz, zmówcie paciorek i spać za piec, a jutro rano do roboty w domu, a koło południa do szkoły, bo to trza robić i uczyć się, a wtedy będzie błogosławieństwo boże!

I stało się, jak matka kazała!

— Uczcież się i wy dziatki, jak owa Kasia i Jasio a będziecie tak samo opowiadać różności wszystkim w domu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Opowiadanie starego wojaka,

czyli

jak Maciej Rembicz okpił Moskalów.

Skoro tylko nadeszła niedziela lub święto jakie uroczyste, to do chaty starego Macieja Rembicza zbiegało się mnóstwo ludzi z gromady gruszowskiej, jakby do cudownego jakiego obrazu. Bo też trzeba wiedzieć, że stary Maciej zwykle w dnie świąteczne opowiadał rozmaite przygody z swego życia, a że był bywalec, za młodu służył w polskiem wojsku i nie z jednej rzeki napił się wody, a nie z jednego pieca najadł się chleba — toć miał o czem tak składnie i pięknie opowiadać, żeś słuchał i słuchał i taki nasłuchać się nie mogłeś.

Otóż było to właśnie w niedzielę po nieszporach — słonko miało się ku zachodowi, a koło chaty starego Macieja zgroma-

dziła się prawie cała gruszowska gromada: kmiecie, niewiasty i dzieci nawet, by posłuchać, co opowie Maciej.

Stary Maciej usiadł sobie na ławeczce pod wielką gruszą i począł opowiadać:

— Kiedyście już tacy łaskawi, i ciekawiście posłuchać opowiadek starego, to wam rozpowiem jeden mały przytrafunek z mojego wojackiego życia.

— Dobrze, dobrze Macieju — zawołali gospodarze — bośmy na wszystko okrutnie ciekawi, co wy nam opowiadacie.

— Otóż jak wiecie — począł prawić stary Maciej — służyłem za młodu w polskiem wojsku, pod jenerałem Dwernickim. Byłoto w roku 1831, kiedy to Polacy zaczęli tłuc okrutnie Moskala, bo okropnie począł broić i gwałty wyrabiać w naszej ojczyźnie.

My pod jenerałem Dwernickim uwijaliśmy się gdyby strzała po kraju, a wszędzie, gdzieśmy tylko natrafili na Moskala, pędziliśmy go co się zowie na cztery wiatry. W tej wojaczce dziwne nieraz przygody zdarzały się człowiekowi, a niektóre z nich tak śmieszne, że się jeno za brzuch trzymać i śmiać się tak, żeby aż żebra trzeszczały.

Raz, pamiętam podeszliśmy pod wioskę, której nazwiska już sobie nie przypominam, bo to, jak zwyczajnie, na starość głowa się psuje człowiekowi. Wieś tę obsadzili byli gęsto Moskale, tak, że co chata, to kilkadziesiąt tych heretyków do dziur powłaziło, gdyby jakie wierutne plugastwo.

Moskale mieli huk ludu i armat co niemiara, więc też nie można było wziąć ich odrazu w krypy, tylko trzeba było osaczyć ich do koła i wywlec z dziury, jak nieprzymierzając psa za uszy.

To też jenerał Dwernicki, co to, panie świeć nad jego waleczną duszą, był taki chwat siarczysty, że ci go się Moskaliska bali, jak diabeł święconej wody — porozstawiał nas dokoła na jakie kilka tysięcy sążni ode wsi, aby Moskała złapać żywcem, jak szczura w łapkę. Jak już nas tak rozstawili, porobiono namioty i wiara nasza rozłożyła się na spoczynek. Aby zaś Moskal nie naszedł nas niespodziewanie, kazał jenerał

Dwernicki na wszystkie strony porozstawiać po kilkanaście żołnierzy na wartę.

Skoro nas Moskale zobaczyli, poczęli się okrutnie ruszać we wsi i myśleli, jakby to się wydobyć ze zdrową skórą z pod rąk polskich. Lecz trudna rada; musieli zostać i czekać, co się z nimi stanie. Zaś aby się jako tako zabezpieczyć, postawili także na około wsi swoje warty.

Otóż przytrafiło się tak, że naszej kompanii kazał był jenerał Dwernicki stać koło polskiego obozu na straży i pilnować dobrze, co Moskale będą robić. Staliśmy tedy, i patrzaliśmy pilnie na Moskali, a Moskale zaś na nas wywalili ślipie jak wilcy.

Gdy tak sobie stoimy, wyjeżdża naraz jakiś starszy moskiewski na ślicznym, białym koniu. Wyjechał on ze wsi, aby zobaczyć, czy moskiewskie sałdaty akuratnie stoją na warcie, jak im przykazano. Świerzbiała widać skóra tego starszego moskiewskiego i wyjechał sobie naprzód ku nam, aby się dowiedzieć, ile też nas być może, i jak sobie stoimy.

Ja stałem akuratnie naprzeciw tego starszego i trzymałem go wciąż na oku. Jak się już na swym białym koniu podsunął bliżej, rzekłem sam do siebie:

— Aha, heretyku, chcesz nas wyszpiegować!... A niedoczekanie twoje!...

I jak palnę do niego z karabina, tak ci mu zaraz kula przejechała przez piersi i padł odrazu z konia.

Koń zaś, co to był piękny jak cacko, a biały jak mleko, nastraszył się mocno strzału i począł biegać po błoniu, ale tak, że ani do nas, ani do Moskali się nie zbliżał, tylko ciągle między nami a nimi latał i skakał.

Moskalom śmierć starszego okrutnie poszła po nosie, ale więcej niż jego, żal im było pięknego konia i bali się, aby go Polacy nie zajęli. A koń jak gdyby na złość, nie zbiegł ani do nas ani do nich, tylko trzymał się po środku i uspokoiwszy trochę, począł sobie wolno spacerować.

I nam strasznie łakomo było na tego konia, bo ci był ładny, że aż dziw. To też my sobie myślimy, a Moskale sobie, jakby tu tego konia dostać? Moskale zaczęli się podsuwać naprzód,

aby go dostać; ale co który tylko pokaże się na przodzie, to ci mu zaraz kulka polska tak płatnie po łbie, że padnie jak kluska na ziemię i tylko drgnie na chwilę.

Zaś jak który z nas pobiegnie naprzód, aby złapać konia, toć zaraz na niego wypuszczą Moskale huk kul, jakby gradu. Tak już i z naszej i z ich strony poległo kilku, a koń sobie spokojnie chodził po samym środku i ani do nas, ani do Moskali na krok się nie zbliżył.

Już się nasi wiarusy polscy wyrzekli i przeklinali go do stu djabłów, gdy mnie naraz wpadła składna sztuczka do głowy i pomyślałem sobie:

— Żeby tu Moskale i ziemię gryźli, to koń musi być nasz!

I powiedziałem do polskich żołnierzy, co zemną razem byli w kompanii:

— Słuchajcie, ja będę udawał, że niby chcę przystać do Moskali i ucieknąć z polskiego obozu. Zaś wy strzelajcie niby za mną, jakbyście mnie chcieli za to zabić, ale rychtujcie tak karabiny, aby kule sobie na wiatr leciały! Jak tylko tak zrobimy, to z pewnością weźmiemy Moskalom konia.

Wszyscy się na to zgodzili, a ja rzuciłem naraz karabin na ziemię i począłem co siły pędzić do Moskali. Moskale myśleli zrazu, że ja biegnę po konia; ale gdy ja wyciągnąłem z kieszeni białą chustkę i począłem nią machać i wołać: *Pardon! Pardon!* zdawało im się, że ja chcę do nich uciekać. Zaś jeszcze więcej uwierzyli temu Moskale, gdy Polacy poczęli niby to na mnie, a poprawdzie na wiatr strzelać.

— *Pardon! Pardon!* — krzyczałem ciągle i biegłem naprzód, że aż paznogcie skrzypiały.

A z obozu polskiego za mną słychać było:

— Pif! paf! Zdrajca, zdrajca! łapajcie! strzelajcie!

Moskale okrutnie się tem ucieszyli i poczęli wołać na mnie, kiwając rękami:

— *Chodi, stupaj, stupaj skorieje, brat'ie, a woźmiet' z soboju łosze!* co znaczy po polsku: Chodź, chodź bracie, a weź po drodze konia!

A ja na to:

— *Da, da!* (dobrze! dobrze!) wezmę konia!

Moskale uwierzyli i nie strzelali na mnie, a ja przybiegłszy do konia, wskoczyłem na niego co żywo, i zamiast do Moskali, jak utnę drapaka do polskiego obozu, aż się za mną zakurzyło.

Moskale zgłupieli do szczętu, rozdziawili gęby na pół łokcia i zanim-ci przyszli do rozumu i poczęli strzelać do mnie, ja już byłem między swoimi.

Wielki ztąd śmiech i uciecha w obozie polskim, a jak się nasz jenerał Dwernicki o tem dowiedział, to poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

— Dobrze bratku! Chwat z ciebie, co się zowie!

Tak to okpiłem Moskali i przyprowadziłem naszym pięknego konia, którego darowałem naszemu jenerałowi Dwernickiemu, aby na nim przewodził nam w bitwie i bił Moskali po swojemu Zaś na drugi dzień skoro świt, jak nie wpadliśmy na kark Moskalom, to wytłukliśmy ich prawie do łaby.

Stary Maciej skończył, a wszyscy się śmieli z głupich Moskali i z tej okrutnej frycówki, jaką im Maciej Rembicz wypłatał. *Wojtek ze Smolnicy.*

RÓŻNOŚCI.

Cyganie. Wie każdy dobrze jaki to strasznie złodziejski naród Cyganie, i jak nie można ustrzedz się przed nimi, ale już o podobnem złodziejstwie dawno nie słyszałem. Stało się to niedawno we wsi Izaje w powiecie buskim. Przyszła tam banda Cyganów, i poszli wprost do xiędza proboszcza, który jest obrządku ruskiego. Otóż proszą go Cyganie, aby ochrzcił im dziecko. Xiądz uczynił to chętnie, a iż do kościoła nie można ich było puścić a izby były małe, kazał wyprzątnąć kuchnię i tam ochrzcił dziecko. Zeszło się dużo ludzi i wszyscy patrzyli na Cyganów jak na dziwowisko. Zaraz po chrzcie świętym poszli Cyganie dalej. Wraca xiądz proboszcz do izby, i wnet czegoś potrzebował pójść do kuferka. Patrzy się, aż tam niema pieniędzy, których było z tysiąc reńskich nowych. Jużci nikt inny nie ukradł tylko Cyganie, więc wysłano w pogoń za nimi. Zatrzymano na drodze Cyganów, i pokazało się, że w czasie chrztu świętego dwóch Cyganów zakradło się do izby i ukradli pieniądze, a potem razem z pieniądzmi przepadli jakby w wodę rzucił. I tak nie znaleziono dotąd ani ich ani pieniędzy.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.